

Kolejne spotkanie u Józefa Łuczniaka

Styczeń 1988, Grodno. Już kilkakrotnie spotykałem się z Józefem Łuczniakiem w jego domu, aby opracować plan naszych działań. Zdecydowaliśmy: ja będę szukał sprzymierzeńców w Łosośnej, on – w Sopoćkiniach i Soniczach.

Mój list do Michaiła Gorbaczowa

Regularnie co jakiś czas spotykaliśmy się z Aleksym Karpiukiem, który był na bieżąco, jeśli chodziło o sprawę polską. Dowiedziałem się od niego, że wcale nie mamy poparcia w Związku Pisarzy BSRR, a on sam nieraz był krytykowany za zaangażowanie się w sprawy Polaków. Karpiuk poprosił, abym napisał do niego list o naszych problemach, żeby mieć podstawę do działań wśród pisarzy białoruskich. Radził także skierować taki sam list do Wasila Bykowa, pisarza znanego i cenionego nie tylko w ZSRR, ale także w wielu krajach świata. Według niego Bykow wykazuje w rozmowach zrozumienie dla sprawy polskiej na Białorusi i może nam pomóc w walce z biurokracją.

Jak dotychczas Aleksy Karpiuk nie dostał żadnej odpowiedzi na list skierowany do Gorbaczowa. Poprosił mnie, abym także wysłał list do Gorbaczowa. Im więcej będzie takich listów, tym większe prawdopodobieństwo, że problem zostanie zauważony. Poszedłem za jego radą i napisałem taki list.

Grodno, 20 marca 1988 roku

Szanowny Michaiile Siergiejewiczu,

Z wielką satysfakcją chciałbym wyrazić poparcie dla prowadzonej przez Pana polityki „przebudowy” naszego wspólnego domu. Osobiście również uczestniczę w tej pracy, o którą Pan apeluje.

Nigdy w życiu nie przedstawiałem nurtujących mnie problemów na tak wysokim szczeblu, lecz teraz nie mogę z tym zwlekać. Obowiązek i sumienie zmuszają mnie do tego, aby przedstawić Panu te kwestie, które niepokoją mnie od lat. Spodziewam się również, że moje pytania nie pozostaną bez odpowiedzi.

Urodziłem się w Grodnie, jestem Polakiem. Mam dwoje dzieci. Młodszy syn wkrótce zacznie chodzić do szkoły. Moim pragnieniem jest skorzystanie z prawa dla swojego dziecka, które gwarantuje konstytucja wszystkim obywatelom naszego państwa, mianowicie, prawa na pobieranie nauki języka ojczystego. W rzeczywistości okazuje się, że niniejsze prawo nie dotyczy mnie i mojego syna, więc dziecko bę-

dzie musiało, tak samo jak ja w młodości, uczyć się innych języków, lecz nie języka ojczystego.

Problem ten chciałem poruszyć w dzienniku „Prawda Grodzieńska”, lecz mój list nie ujrzał światła. Uważam, że redakcja zlekła się tego, że publikacja ta może złamać stereotypy myślenia w tej kwestii, którą powinno się w końcu rozstrzygnąć, a to oznacza, że pewne osoby będą musiały „się kręcić”. Odpowiedź gazety, typowa dla epoki stagnacji, została przedstawiona jako opinia kierownictwa partyjnego i radzieckiego obwodu.

Zwracałem się także do pisarzy białoruskich. Nił Gilewicz, który w ubiegłym roku występował na Plenum Związku Pisarzy ZSRR i wyraził zaniepokojenie losami języka białoruskiego, nie dostrzegł, niestety, problemu z nauczaniem polszczyzny, a nawet nie odpowiedział na mój list.

W Grodnie mieszka 38 tysięcy Polaków, tyleż w rejonie (czyli powyżej 54% ludności rejonu Grodno), zaś w rejonie Woronowo – jeszcze więcej – 85%. Polacy stanowią spory odsetek także w innych rejonach w obwodzie. Mimo tak wysokiego procentu ludności pochodzenia polskiego, nie mamy żadnej szkoły z nauczaniem w języku polskim, a nawet takiej, w której można byłoby się uczyć polskiego jako języka ojczystego. Czy to nie jest dziwne, że w naszym kraju mogą funkcjonować szkoły z nauczaniem w języku niemieckim, angielskim, chińskim oraz każdym innym, lecz jak się okazuje, nie ma warunków do uczenia się języka ojczystego. Szkoły polskie istniały w obecnym obwodzie grodzieńskim do końca lat czterdziestych. Uważam, że nie były wcale szkodliwe, lecz znalazły się osoby wśród administracji, które zabroniły ich istnienia. Czas do wymierzenia ciosu został wybrany w sposób bardzo przemyślany...

Efektom powyższej decyzji stało się to, że region, który dał światu wybitnego polskiego poetę Adama Mickiewicza, znakomitą pisarkę Elizę Orzeszkową oraz innych twórców, dzisiaj nie ma żadnego literata tworzącego w języku polskim, a wśród ludności zanika znajomość języka ojczystego, literatury, historii.

Decyzja ta uderza w politykę. Oto przykład dla porównania. Na Litwie mieszka Polaków mniej niż w naszym obwodzie, lecz w 124 szkołach wprowadzono nauczanie języka polskiego, a w 63 szkołach nauczanie wszystkich przedmiotów odbywa się w języku polskim. Polskie szkoły funkcjonują także na Ukrainie.

W bratniej Polsce, w sąsiadującym z Grodzieńszczyzną województwie białostockim, mieszka około 200 tysięcy Białorusinów. Rząd polski uczynił wszystko, aby mieli oni szkoły narodowościowe, zespo-

ły folklorystyczne, własną białoruskojęzyczną gazetę „Niwa”. W języku białoruskim tworzą pisarze mieszkający na Białostocczyźnie.

Oto identyczne problemy i różne sposoby ich rozstrzygnięcia.

Szanowny Michaile Siergiejewiczu,

We wrześniu przyszłego roku obwód grodzieński obchodzi 50. rocznicę połączenia z ZSRR. Jest to ważna data. Jestem przekonany, że będzie to okazja do poruszenia kwestii polskiej w mediach, przede wszystkim zaś sprawy pozbawienia ludności polskiej, która od lat zamieszkiwała te tereny, prawa konstytucyjnego do uczenia się języka ojczystego. Uważam, że nie trzeba czekać, aż Polacy na Białorusi zaczęną występować masowo w obronie swoich praw, lecz znaleźć w sobie odwagę i oddać ludziom przynajmniej część tego, co odebrano im wbrew prawu.

Powiedziałem już, że jestem Polakiem i znam swoich ziomków. Mogę więc zapewnić, że wyrażam opinię wielu osób, które życzą sobie, aby ich dzieci uczyły się języka ojczystego. Gdyby ten list zawierał podpisy rodziców, byłyby ich tysiące.

Korzystając z okazji chciałbym podziękować za pracę, którą Pan wykonuje kierując państwem oraz życzyć zdrowia.

Decyzję Pana o zwołaniu plenum KC w związku z kwestią polityki narodowościowej gorąco popieram nie tylko z powodu poruszonego wyżej problemu. Najwyższy czas nie w słowach, tylko w rzeczywistości, wyjaśnić, co to jest kwestia narodowościowa i internacjonalizm. W tych sprawach popełniono dużo błędów, lecz nigdy nie identyfikowałem poszczególnych funkcjonariuszy z polityką całego państwa.

*Z poważaniem
podpułkownik Tadeusz Gawin*

Rozmowa z Piotrem Malewiczem

Kwiecień, maj 1988, Łosośna. Podczas kolejnego spotkania u Józefa Łuczniaka zadecydowaliśmy, aby „popracować” wśród rodziców dwu klas i skłonić ich do napisania do dyrekcji szkoły wspólnej prośby o zgodę na nauczanie języka polskiego jako ojczystego w nowym roku szkolnym.

Swoje działania rozpocząłem od spotkania z dobrze mi znanym, jeszcze ze szkolnej ławy, Piotrem Malewiczem. Długo nie mógł uwierzyć, że w naszych warunkach jest możliwa nauka dzieci w języku polskim. Dyskutowaliśmy ponad dwie godziny. Zgodził się mnie wspierać.

Pierwszy sukces

Maj 1988, Sonicze. Praca Józefa i moja zaowocowała niezłymi jak na początek wynikami. W jego szkole od nowego roku szkolnego wprowadzono nauczanie języka polskiego. Niestety, fakultatywne. Józef jednak postanowił, że w trzeciej klasie język polski zostanie wprowadzony do rozkładu zajęć jako przedmiot podstawowy i to on, dyrektor szkoły, będzie uczył dzieci naszego języka ojczystego.

Kolejny sukces

W kwietniu i maju po pracy, wieczorami spotykałem się z Piotrem Malewiczem i Pauliną Masłowską, z którymi naradzaliśmy się, co i jak mamy robić, aby rodzice spotkali się z dyrekcją szkoły w sprawie nauczania języka polskiego. Moi pomocnicy byli bardzo aktywni, zebrali już kilkadziesiąt podpisów od rodziców.

Na zebraniu z dyrekcją szkoły byli obecni pracownicy Komitetu Obwodowego Partii, Komitetu Wykonawczego Rejonu Grodno, inspektor Kuratorium Oświaty obwodu i kierownik Kuratorium Rejonowego Dmitryj Dudariew. Nauczyciele potraktowali mnie jak nieproszonego gościa. W obecności Józefa Łuczniaka powiedziano pracownikowi komitetu partyjnego, że to ja spowodowałem to całe zamieszanie. Żaden z nich nie wiedział, że tuż obok stoi jeszcze jedna osoba winna wszystkiemu. Zarówno goście, jak i nauczyciele całe spotkanie sprowadzili do potwierdzenia tezy, że jeśli mieszkamy na Białorusi, naszym językiem ojczystym jest białoruski, chociaż w szkole uczono nas po rosyjsku. Przyjechali z wcześniej przygotowaną uchwałą, aby w żadnym wypadku nie dopuścić do wprowadzenia do szkoły języka polskiego jako przedmiotu. Zgadzała się wyłącznie na nauczanie języka w kółkach.

Najbardziej zaskoczyła mnie postawa nauczycieli Polaków. Nie mogłem jej pojąć. Chęć wykazania swojego oddania reżymowi popychała ich do takich wystąpień, próbowali nas przekonać, że języka nie trzeba uczyć w szkole, wystarczy nauka w domu rodzinnym.

Przypomniałem sobie, jak rodzice jednej z obecnych na zebraniu nauczycielek uczyli jej syna: „Kto ty jesteś? Polak mały...” Widocznie nie zawsze patriotyzm rodziców przekazywany jest dzieciom.

Za to rodzice trzymali się dzielnie, zwłaszcza Piotr Malewicz i Paulina Masłowska. Udało się nam wpisać do uchwały zebrania decyzję o wprowadzeniu języka polskiego jako przedmiotu nauczania w klasie 3. Jeszcze jedno małe zwycięstwo! Mamy więc w obwodzie 2 szkoły, w których od nowego roku szkolnego będzie nauczany język polski.

List z Moskwy

10 maja 1988. Otrzymałem list z Państwowego Komitetu ZSRR do Spraw Oświaty, którego kopia została skierowana także do Ministra Oświaty BSRR. Była to odpowiedź na mój list do Gorbaczowa. Ministrowi kazano szczegółowo zbadać sprawę oraz wysłać odpowiedź do Moskwy i do mnie. W odróżnieniu od „Prawdy Grodzieńskiej” list ten nie zaprzeczał, że problem polski istnieje. Był to wielki plus dla sprawy, można więc było spodziewać się, że jeśli będziemy konsekwentnie działać, ruszymy sprawę z martwego punktu. Nawiązałem kontakt z minister Ludmiłą Suchnat, która nie była specjalnie życzliwa i swoim zachowaniem przypominała redaktora Bogusza. Skierowała mnie jednak do trzech pracowników ministerstwa, z którymi należało dalej kontaktować się w naszych sprawach.

Braźowa odznaka „Za zasługi w ochronie granic Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”

Dwudziestego ósmego maja 1988 roku w naszej jednostce uroczystie obchodzono ogólnokrajowy Dzień Pogranicznika. Na obchody przyjechała delegacja z białostockiej Brygady Straży Granicznej. Oficerom wręczano nagrody, w tym też trzy polskie. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu jedną z nich dowódca Brygady wręczył mnie.

Kiedy przyjechałem rok wcześniej do Grodna, zwróciłem uwagę, że łączność pomiędzy sztabem naszej jednostki a sztabem Brygady w Białymstoku jest bardzo złej jakości. Po dokładnym zbadaniu sprawy okazało się, że z naszej winy. Doskonając łączność z naszymi strażnikami, założyliśmy także nowe podziemne łącza do granicy z Polską, które następnie zostały podłączone do polskiego odcinka. Razem z szefem łączności Brygady WOP z Białegostoku, podpułkownikiem Stanisławem Kuleszą, popracowaliśmy nad wspólnym odcinkiem, aby otrzymać łączność dobrej jakości. Widocznie ta moja działalność była przyczyną odznaczenia mnie przez Ministra Spraw Wewnętrznych PRL.

Pierwszy raz do Polski

1 czerwca 1988 roku, wraz moim przełożonym, szefem sztabu naszej jednostki, po raz pierwszy w życiu byłem służbowo w Polsce. Będąc na Zabajkalu czy Dalekim Wschodzie marzyłem, żeby ujrzeć ten kraj. I nareszcie, po tylu latach znalazłem się w ojczyźnie! Mimo że większość czasu spędziliśmy w Brygadzie WOP w Białymstoku i w tamtejszym kasynie oficerskim, było to dla mnie wielkie przeżycie uczuciowe. Przecież ja też mógłbym zostać oficerem polskim, a nie radzieckim, gdyby po wojnie los mojej rodziny potoczył się inaczej. A teraz, nareszcie siedzieliśmy naprzeciwko siebie i mówiliśmy tym samym językiem – ja, Polak w mundurze sowieckim i mój kolega, Polak w mundurze polskim.

Na dywanik

2 czerwca 1988, Grodno. Rano dowódca i naczelnik Wydziału Politycznego wezwali mnie na rozmowę i poprosili o wyjaśnienia – dlaczego wtrącam się do procesu dydaktycznego w szkole w Łosośnej. Trzeba było wszystko wytłumaczyć. Cóż, aparat działał sprawnie. Wszystko jest jak dawniej, z tym że obliczone na strach i kłamstwa, bo represje już są niemożliwe. Świadomie wybrałem walkę i na pewno nic mnie nie złamię.

Swoim przełożonym pokazałem list do Gorbaczowa. Wytłumaczyłem, do czego dążę i zapytałem, czy w związku z tym mają do mnie pretensje. Oczywiście nie mogli mi nic zarzucić, ponieważ wszystko co robiłem było zgodne z prawem i konstytucją ZSRR. Następnego dnia spotkał mnie szef Wydziału Politycznego pułkownik Farid Sajbatałow i powiedział: „Wiesz, uważnie przeczytałem twoje listy do gazety i do Gorbaczowa i jest mi wstyd, że nie znam swojego języka ojczystego. Jakież ze mnie Tatarzyn?!”

Coś drgnęło

Czerwiec 1988, Grodno. W „Prawdzie Grodzieńskiej” zamieszczono ogłoszenie, że w obwodzie grodzieńskim planowane jest założenie polskiej sekcji kulturalno-oświatowej przy Obwodowym Oddziale Radzieckiego Funduszu Kultury. Podano także warunki jej utworzenia. Uznaliśmy z Józefem Łuczniakiem, że to, co robimy i do czego dążymy, odpowiada tym warunkom. Postanowiliśmy pójść 2 lipca na zebranie.

Po tym, jak w „Prawdzie Grodzieńskiej” ukazała się wspomniana informacja, długo zastanawialiśmy się z Aleksym Karpiukiem, co spowodowało, że w ogóle mogła się ukazać. Doszliśmy do wniosku, że ta odgórna inicjatywa władz może być reakcją Moskwy na nasze listy do Michaiła Gorbaczowa przed planowaną na lipiec tego roku jego wizytą w Polsce. Nie byliśmy tego pewni, ale wiadomo było, że władze nie uczyniły tego z własnej woli.

Nieudana próba

19 lipca 1988, Grodno. Na Uniwersytecie Grodzieńskim zebrało się około 30 osób, którym nie jest obojętny język i kultura ojczysta. Przed zebraniem kilka razy spotykałem się z Franciszkiem Witowiczem. Chodził do szkoły razem z moją siostrą. Franciszek dobrze mówi po polsku, jest patriotycznie nastawiony. On z kolei zaprosił na zebranie swoich znajomych. A więc 19 lipca 1988 r. było nas już trzech. Zebranie było chaotyczne. Zrozumieliśmy, że na razie nie ma mowy o zorganizowaniu sekcji.

Jednak Siergiej Gabrusiewicz, przewodniczący Oddziału Funduszu Kultury i Włodzimierz Tołkacz, sekretarz Radzieckich Towarzystw Przyjaźni z Zagranicą nalegali na utworzenie sekcji. Było oczywiste, że w przeddzień wizyty Michaiła Gorbaczowa w Polsce komuś zależało, żeby złożyć raport o zaangażowaniu w sprawy Polaków w ZSRR.

My jednak stanowczo nalegaliśmy na utworzenie organizacji, która objęłaby swoją opieką i działaniem cały obwód grodzieński – chodziło nam o założenie obwodowego Stowarzyszenia.

Wspólną decyzją postanowiono przenieść zebranie założycielskie na 10 sierpnia. Dzięki temu zebraniu poznałem kilka ciekawych osób: Stanisława Sienkiewicza, starszego pracownika naukowego Instytutu Biochemii Akademii Nauk Białorusi, Janusza Parulisa, artystę-malarza, Antoniego Pacenkę, pracownika naukowego i Irenę Waluś, bibliotekarkę, która zauroczyła nas wspaniałą znajomością języka polskiego.

Ludzie są. Trzeba ich tylko odnaleźć. Dzisiaj zrozumiałem, że mimo 18 lat spędzonych w Rosji, na Zabajkału, na Dalekim Wschodzie, kiedy starałem się nie zapomnieć języka ojczystego, czytałem polskie książki i gazety, moja polszczyzna jest, niestety, bardzo niepoprawna. To smutne, ale prawdziwe.

Nowi ludzie

20 lipca 1988, Łosośna. Spotkaliśmy się we trzech: Józef Łucznik, Franciszek Witowicz i ja. Postanowiliśmy, że należy przejąć inicjatywę założenia Stowarzyszenia i wciągnąć do tej pracy Stanisława Sienkiewicza i Janusza Parulisa. Grupa inicjatywna wyznaczona przez władze do powołania polskiej sekcji kulturalno-oświatowej unika problemów, nie można więc na nią liczyć.

Ostatnie uzgodnienia

21 lipca 1988, lasek obok wsi Zofijewo. Razem z nowo poznanymi kolegami omówiliśmy problem utworzenia Polskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego. Postanowiliśmy przedstawić 10 sierpnia referat, projekt uchwały dotyczącej utworzenia Towarzystwa i statut. Z referatem wystąpi Franciszek Witowicz. Statut ma opracować Stanisław Sienkiewicz, zebranie zaś poprowadzę ja. W przygotowaniu materiałów do prowadzenia zebrania pomoże mi Józef, ludzi powiadomi Janusz Parulis. On też miał zaprosić gości z Wilna.

Rozważaliśmy również kandydaturę przewodniczącego Towarzystwa. Nikt się tego nie podejmuje, sprawa jest nowa, nieznana. Wydaje mi się, że ludzie podświadomie jeszcze się boją. W takiej sytuacji ktoś przecież musi wszystko zorganizować i poprowadzić. Postanowiliśmy, że tym się zajmę ja. Nie zdawałem sobie do końca sprawy, jaka praca nas czeka.

Propozycja Aleksego Karpiuka

2 sierpnia 1988, Grodno. Zadzwoił Aleksey Karpiuk i umówiliśmy się na spotkanie. Zaoferował swoją pomoc w przygotowaniu konferencji. Zaproponował, aby nowe Towarzystwo nosiło imię Jana Kochanowskiego, ale my wcześniej uzgodniliśmy, że patronem będzie Adam Mickiewicz. Aleksey Karpiuk pogratulował trafnego wyboru.

Ostatnie przygotowania

Razem z Józefem tłumaczymy z języka rosyjskiego na polski porządek obrad konferencji. Po raz kolejny przekonuję się, że słabo znam język polski. Jeszcze raz spotykamy się w piątek 9 sierpnia w Łosośnie, żeby omówić szczegóły jutrzejszej konferencji, układamy projekt listy Zarządu Towarzystwa.

Vivat Stowarzyszenie!

10 sierpnia 1988, Grodno. Aula Uniwersytetu Grodzieńskiego im. Janka Kupały jest wypełniona po brzegi. To robi wrażenie i cieszy. Konferencja, ku mojemu zdziwieniu, przebiega sprawnie i wszyscy mówią tylko po polsku. Problemy, o których pisałem do „Prawdy Grodzieńskiej”, do Wasila Bykowa i Michaiła Gorbaczowa, znajdują odzwierciedlenie w wystąpieniach uczestników. Sala wspólnie przyjęła referat wygłoszony przez Franciszka Witowicza i kilkakrotnie przeżywała mu burzliwymi oklaskami. Ta konferencja wielu przekonała o naszej sile.

Kiedy zasugerowano nadanie Stowarzyszeniu imienia Adama Mickiewicza, sprzeciw wyraziła Irena Waluś, proponując na patronkę Elizę Orzeszkową, jednak większością głosów wybrano Adama Mickiewicza. Zatwierdzono także Zarząd i mnie na stanowisko przewodniczącego.

Do Zarządu weszli Józef Łuczniak – nauczyciel, dyrektor szkoły, Franciszek Witowicz – inżynier budowlany, Stanisław Sienkiewicz – starszy pracownik naukowy Instytutu Biochemii, Janusz Parulis – artysta malarz, Joanna Niemczynowska – nauczycielka, Jolanta Borewicz – inżynier, Sławomir Strumiłło – profesor Uniwersytetu Grodzieńskiego, Eugeniusz Szuszkiewicz – docent Uniwersytetu Grodzieńskiego, Ryszard Kleczkowski – muzyk, Aleksander Siemionow – robotnik z Lidy, Jan Kunicki – architekt, Irena Waluś – pracownik biblioteki, Halina Rudnicka – nauczycielka, Teresa Sadowska – robotnica, Janina Wienclawowicz – pracownik kultury, Leonarda Czygier – emerytka, Jan Rytwiński – inżynier budowlany, Antoni Pacenko – pracownik naukowy Instytutu Biochemii, Aleksander Kołyszko – nauczyciel, Jerzy Gorbaczewski – pracownik Obwodowego Komitetu Wykonawczego.

Konferencja rozpoczęła się o 19, a zakończyła się o 24. Gdy śpiewano „Rotę”, na twarzach uczestników konferencji widać było łzy wzruszenia. Tylko

niewielka grupka znała tę pieśń. Do domu przyjechałem kilkanaście minut po północy. O pierwszej w nocy zadzwonił Józef Łucznik i zaprosił mnie do siebie. Okazało się, że cała nasza piątka już jest. Nadszedł czas, aby podzielić się wrażeniami z całego dnia. A więc od wczoraj istnieje Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe im. Adama Mickiewicza.

Korzystna informacja

15 sierpnia 1988, Łosośna. Józef powiedział mi, że do Mińska wezwano przewodniczącego Grodzieńskiego Rejonowego Komitetu Wykonawczego, Romana Olizarowicza, w sprawie wprowadzenia języka polskiego do szkół rejonu. Należy koniecznie skontaktować się z nim przed wyjazdem, tym bardziej że też jest Polakiem. Spotkałem się z nim dzień później. Przyjął mnie chłodno. Wykazał zupełną obojętność wobec sprawy nauczania języka polskiego w szkole. Powiedział, że on i jego dzieci uczyli się języka polskiego w domu, bo chcieli. „Tak, jestem Polakiem, ale moim językiem ojczystym jest rosyjski. Jestem Polakiem, ale jestem też marksistą” – powiedział.

W jak dużym stopniu aparat sowiecki wypaczył sumienie takich ludzi. Carat nie spowodował takiego spustoszenia wśród Polaków na Grodzieńszczyźnie, jak radzieccy i partyjni funkcjonariusze. To, czego nie udało się dokonać wrogom narodu polskiego w ciągu 123 lat rozbiorów – pozbawić naród języka ojczystego – udało się przez ostatnie 40 lat funkcjonariuszom „najlepszemu” w świecie ustroju radzieckiego.

Ile jeszcze trzeba czasu, aby wyrosła prawdziwa nowa polska inteligencja? Stawiałem sobie te pytania, bo liczyłem na zmianę mentalności takich „okaleczonych” Polaków. I rzeczywiście, Roman Olizarowicz wkrótce stał się naszym sprzymierzeńcem. Dzięki niemu, z jego pomocą, do wielu szkół w jego rejonie został wprowadzony język polski, w Kaletach wybudowany kościół, wielu księży uratowano od przymusowego wyjazdu do Polski, uzyskano działkę pod budowę polskiej szkoły w Grodnie. To, że podczas pierwszej naszej rozmowy zachował się w taki, a nie inny sposób, prawdopodobnie było reakcją na możliwą prowokację ze strony KGB. Niedługo po tym, jak Łukaszenko przejął władze na Białorusi, nasz dobry przyjaciel został przez niego odwołany ze swojego stanowiska.

Dowódca jest niezadowolony

20 sierpnia 1988, Grodno. Poinformowałem dzisiaj naczelnika Wydziału Politycznego o tym, że wstąpiłem do Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego im. Adama Mickiewicza i że wybrano mnie na przewodniczącego. W czasie naszej rozmowy wszedł dowódca. Wiadomość ta została odebrana przez niego bardzo chłodno.

Barbara Wachowicz

21 sierpnia 1988, Grodno. Stowarzyszenie zorganizowało w auli Uniwersytetu spotkanie z polską pisarką Barbarą Wachowicz. Myślę, że właśnie dzisiaj została zapoczątkowana moja z nią przyjaźń. Jest mistrzynią w swoim fachu. Przez dwie godziny trzymała nas w napięciu. Specjalnie prosiłem właśnie panią Barbarę, aby całe spotkanie było ukierunkowane na zaszczepienie miłości do języka ojczystego.

Brawo, pani Basiu! Wieczorem spotkaliśmy się u mnie w domu przy herbacie. Razem z nami była uzdolniona dziennikarka z wileńskiego „Czerwonego Sztandaru”, Leokadia Komaiszko. Jej artykuły o Polakach w Kazachstanie i na Białorusi zasługują na uwagę. Wkrótce będą także reportaże o Polakach na Grodzieńszczyźnie.

Prasa o nas

21 sierpnia 1988 roku gazeta „Czerwony Sztandar” z Wilna opublikowała materiał pod tytułem „Stowarzyszenie Polaków w Grodnie”. Oto jego treść:

*Ojczyzno moja! W życiu tyle razy
Pytałem serce, gdzie cię szukać trzeba?
Dzisiaj nie pytać, odpowiadać wolę:
Ojczyzna nasza to nasz dom rodzinny,
Który kochamy...*

(Julian Wołoszynowski)

PROLOG

Pociąg po trzech godzinach jazdy punktualnie wtoczył się na dworzec w Grodnie. Niebo błękitne z wzorami bogatej rzeźby chmur hojnie rozsiewało sierpniowe ciepło na miasto. A z rana podobno przeszła tu burza z grzmotami. Nas jednak gród bierze przytulnie w swe objęcia i chodzimy, chodzimy. Moc księgarni – większych i mniejszych. Moc czytania, ale my wyszukujemy szczególnie pozycji o tej ziemi; głodni o niej wiedzy, łapiemy wszystko. Na szczęście jest tego dużo, o wiele więcej niż na Litwie o Litwie. Pełno planów, albumów, przewodników, jedynie widokówek skąpo. A więc: kolorowe albumowe wydania – Grodno, Połock, Homel, przewodniki – Holszany, Skidel, Mosty, Mir, Słonim, Nowogródek, obwód grodzieński, miński itp., itd. Muzyka nazw dla ucha, dla ucha historycznego. Do godziny 19.00, czyli do rozpoczęcia zebrania, na które przybyliśmy, sporo czasu. Jest więc okazja spenetrować niecierpliwie treść bogatego łupu księgarskiego. Aliści jedna, druga...ostatnia pozycja jednako sztapowa, starym sztywnym stylem sklecona, chociaż są to rzeczy nowe, czy nawet najnowsze. Szukam choć w którejkolwiek danych o ludności, kto zamieszkuje, ile kogo? Niestety, o tym ani słowa. Autorów nie wymieniam, to nieistotne. Widocznie tak rozumie sprawy krajoznawcze wydawca – zazwyczaj mińska „Połymia”.

Na zebranie założycielskie Stowarzyszenia Polaków zamieszkałych na Grodzieńszczyźnie idę bez orientacji o ich liczebności. Ba, na ulicach nie słyszy się tu prawie białoruskiego ani polskiego

W AULI UNIWERSYTECKIEJ

Ulica E. Orzeszkowej 2. Gmach Uniwersytetu Grodzieńskiego vis à vis domu Orzeszkowej – „domu, który tu każdy zna”, jak powie ktoś z grupy inicjatywnej Stowarzyszenia. Właśnie z tego sąsiedztwa poniekąd się zaczęło – od inicjatywy członków Oddziału Grodzieńskiego Związku Pisarzy BSRR i uniwersytetu. Pierwsze spotkanie odbyło się jeszcze w lipcu br., a 10 sierpnia – było zebraniem inauguracyjnym Stowarzyszenia Społeczności Polskiej m. Grodna i obwodu.

Aula uniwersytecka prawie pełna, dużo osób ze starszego pokolenia, ale sporo też młodzieży. W tym licznym gronie dostrzegam przedstawicieli Klubu Miłośników Kultury Polskiej z Lidy – pierwszych inicjatorów działalności na niwie popularyzacji rodzimej kultury, tych którzy najszybciej się zadeklarowali, by swobodnie, na równi z innymi przyczyniać się do przebudowy, przede wszystkim do nowego myślenia. Są przedstawiciele z kilku rejonów (wołkowyski, werenowski, bieriestowski i inne miejscowości), ludzie różnych zawodów reprezentujący miejscowych Polaków. Obecny tu jest, z wyraźnym szacunkiem przyjmowany, pisarz białoruski Aleksiej Karpiuk. Zebranie otworzył prorektor uniwersytetu Siergiej Gabrusiewicz, przewodniczący Grodzieńskiego Obwodowego Oddziału Funduszu Kultury BSRR. Powitał i podziękował serdecznie wszystkim obecnym za przybycie, za aktywność, za chęć uczestniczenia w tym, co się zaczyna dzieć wśród polskiej narodowości na tym skrawku białoruskiej ziemi. ...Tu dopiero padła liczba Polaków zamieszkujących Grodzieńszczyznę: 300 tys., a w ogóle na Białorusi mieszka obywateli narodowości polskiej 400 tys. Realizując stosowne uchwały KC KPZR w kwestiach narodowościowych, KC BSRR powziął w tej sprawie własną uchwałę. One też stworzyły ramy do inicjatyw w życiu społeczno-kulturalnym białoruskich Polaków. Pierwsza z nich to właśnie założenie własnego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego przy miejscowym Oddziale Funduszu Kultury BSRR

FRAGMENTY Z PROTOKOŁU

Nie sposób tu opisać w pełni przebiegu zebrania. Trwało ono prawie 5 godzin. Było ciekawe, burzliwe i bardzo emocjonalne. Tu zaledwie wrywkowe fragmenty niektórych wypowiedzi:

Nasze zebranie bez przesady stanowi wydarzenie na miarę historyczną – słowa z referatu wstępnego wygłoszonego przez Franciszka Witowicza. – następują zmiany w stosunkach między państwami i wewnątrz kraju. To owoc przebudowy. Czeka nas dużo pracy – odrodzenie języka, kultury rodzimej. Chcemy, aby wnuk mógł się porozumieć z dziadkiem czy ojciec z synem we własnym języku – to prawo każdego wolnego człowieka w konstytucyjnym kraju. Ta ziemia dała wieszczą narodu Adama Mickiewicza, Elizę Orzeszkową, dała innych ludzi, którzy stanowią jej chlubę. A my dziś projektu statutu nie mogliśmy wydrukować po polsku w Grodnie.... Zmuszeni jesteśmy też apelować do wileńskiego „Czerwonego

Sztandaru” o zamieszczenie informacji o naszym życiu, o naszych sprawach. Mamy cele szlachetne – popularyzację kultury Polaków i przyczynianie się do jej rozwoju. Nie wolno nam być pasywnymi, historia nam tego nie daruje. Apel do rodzin polskich Grodzieńszczyzny – zwracajcie się z podaniami do szkół o nauczanie języka ojczystego. Nie może być narodu bez własnego języka, tym bardziej nie wolno go się wstydzić. Troskę o narodowe odrodzenie powinniśmy wykazywać wszyscy... Chronić to, co jeszcze zostało, zabytki, piękny barok, inne dobra kultury, bo to wszystko – dorobek ludzkości... – Jan Jarosiński, gość z Olsztyna.

– Pół życia przemieszkalem w Polsce, pół tu. Ziemia nasza była areną strachu i poniewierania długo – głos z sali. – Mamy historię smutną i gorzką, ale jeżeli i dzisiejsze plagi (alkoholizm itp.) będą się rozwijać, to ziemia ta zarośnie. Musimy się troszczyć o sprawy godności ludzkiej. Stowarzyszenie Polaków jest konieczne...

– Dlaczego nasze dzieci nie znają języka ojczystego? – Jolanta Borewicz, pracowniczka zakładu „Chimwołokno” – twierdzą, że to wina również samych rodziców. Ale dziś oczywiście trzeba pomóc poprzez szkoły, przez nauczanie go w normalnym trybie. Stowarzyszenie jest więc potrzebne do wszelkiej takiej pomocy.

– Nie byłoby przebudowy polityki, nie byłoby niczego, działałoby się po staremu – słowa Aleksieja Karpiuka, pisarza. – Nowe wiatry w polityce sprzyjają i ludzie budzą się do czynu. Nastął więc czas nie narzekań, nie żalów, lecz działań. Stowarzyszenie jest konieczne i trzeba działać, nie zaś prosić o cokolwiek, co wszystkim prawnie się należy, wymagać tego zgodnie z myślą leninowskiej polityki narodowościowej i uchwałami partii...

ZAŁOŻYCIELSKI AKORD

Po dyskusji uchwalono statut Stowarzyszenia, po czym na gorąco stanęła sprawa jego nazwy: im. A. Mickiewicza czy E. Orzeszkowej. Ostatecznie przegłosowano za imieniem wielkiego poety. Wybrano zarząd Stowarzyszenia składający się z 27 osób, któremu przewodniczyć będzie (również kandydatura przegłosowana) Tadeusz Gawin. Uzgodniono inne kwestie wynikające ze statutu. Kolejne zebranie odbędzie się we wrześniu. Stowarzyszenie podlega oficjalnemu zarejestrowaniu.

Wileńskie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie doczekało się zatem bliźniaczego brata – Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego Polaków im. A. Mickiewicza – oba odpowiednio działające przy republikańskich Funduszach Kultury Litwy i Białorusi. Mało tu powiedzieć, że wreszcie rozum zwyciężył i obywatele wszystkich narodowości kraju swobodnie odzyskują tożsamość narodową. Tak powinno być zawsze. Tego, co utracono, zapewne już nikt nie policzy. Patrzą na piękne twarze, na błysk ożywionych oczu, jakież natchnienie...

Ale tu trzeba palety pisarskiej patronki tego miasta, znawczyni duszy tego ludu – Elizy Orzeszkowej, aby przekazać niezbadany urok tej ziemi, jej naturalny powab. I coś w tych okolicach odmalowuje w ludzkich twarzach – z głębia nieskazitelnych, czystych uczuć do tej ziemi – Ojczyzny, jej wielkiej, bolesnej historii na tym skrzyżowaniu kultur.

DANUTA WEROWSKA,
Kor. „Czerwonego Sztandaru”
Grodno – Wilno

Obawy potwierdziły się

Gdy w maju 1988 roku wywalczyliśmy wprowadzenie nauki języka polskiego do szkoły w Łosośnej, myśleliśmy, że sprawa jest już załatwiona. W rzeczywistości władze w międzyczasie robiły wszystko, by namówić rodziców do zrezygnowania z tego pomysłu. Na początku września ponownie w tym celu ogłosili zebranie rodziców w szkole. Drugie zebranie z mieszkańcami wsi w tej sprawie wyznaczono w miejscowym klubie dokładnie w tym samym czasie. Władze, mając poparcie mieszkańców niepolskiego pochodzenia, chciały skłonić Polaków, by porzucili pomysł wprowadzenia języka polskiego do szkół.

Spotkanie w klubie, na które byłem oddelegowany przez moich kolegów ze Stowarzyszenia zapowiadało się na bardzo trudne. Przybyłem w oficerskim mundurze, którego widok dodał odwagi Polakom, a inni, nam niezyczliwi, większego oporu nie stawiali. Władza musiała, zgodnie z konstytucją ZSRR, przyznać nam rację.

Na zebranie do mojej rodzinnej szkoły wysłałem Tadeusza Malewicza, Stanisława Sienkiewicza i Franciszka Witowicza, którzy wspólnie z rodzicami mieli za zadanie zmusić władze białoruskie do wykonania Uchwały dotyczącej wprowadzenia języka polskiego jako przedmiotu do tej szkoły, począwszy od maja tego roku. W spotkaniu tym, oprócz rodziców i dyrekcji szkoły, udział wzięły władze rejonu grodzieńskiego, kuratorzy oświaty rejonu i obwodu grodzieńskiego, a także przedstawiciel Ministerstwa Edukacji BSR z Mińska. Mimo różnych nacisków i prowokacji ze strony władz i kolaborujących z nimi paru rodziców Polaków, udało się naszym przedstawicielom – wspólnie z większością rodziców – zamierzony cel osiągnąć. Władza zrozumiała, że będzie musiała realizować nasze prawa konstytucyjne dotyczące umożliwienia naszym dzieciom pobierania nauki języka ojczystego w tej szkole. Zapewniła nas, że w najbliższym czasie rozpocznie się nauka języka polskiego.

Trudne spotkanie

Wrzesień 1988, Grodno. Długo czekałem, żeby doszło do spotkania z Walentynem Taranciejem, kierownikiem Oddziału Ideologii i Propagandy Obwodowego Komitetu Partii i Siergiejem Gabrusiewiczem, przewodniczącym Obwodowego Funduszu Kultury. Ze strony Stowarzyszenia byli obecni Joanna Niemczynowska i ja. Poruszano bardzo istotne dla nas problemy, mianowicie:

- wprowadzenie języka polskiego do szkół według życzenia rodziców,
- otwarcie polskich szkół zamkniętych wcześniej przez władze,
- założenie gazety polskiej oraz ukazywanie się części nakładu „Prawdy Grodzieńskiej” w języku polskim,
- zorganizowanie audycji w języku polskim w lokalnym radiu oraz polskojęzycznego programu telewizyjnego.

Odpowiedzi były obszerne i mgliste, co oznaczało, że aparat wprawdzie „przestraja się”, ale stare myślenie jeszcze nad nim ciąży. Patrzą na nas jak na szaleńców. Są przekonani, że ten przyptyw świadomości narodowej jest chwilowy, po jakimś czasie wszystko wróci do normy. Dziennikarki z „Czerwonego Sztandaru”, Leokadii Komaiszko, na spotkanie nie wpuszczono.

Proces rozpoczęto

W 20 szkołach w rejonie można uczyć się języka polskiego. W mojej szkole w Łosośnej, jako jedynej w Republice, język polski jest przedmiotem nauczania w klasie trzeciej.

Spotkanie w konsulacie

Wrzesień 1988, Mińsk. W konsulacie generalnym PRL w Mińsku spotkałem się z konsulem generalnym Mieczysławem Obiedzińskim i konsulem Henrykiem Kalinowskim. Podczas obiadu konsul Kalinowski zapytał mnie, jakiej jestem narodowości, gdyż krążą na ten temat różne plotki. Pokazałem im swój dowód. Zaprosiłem też przedstawicieli konsulatu do Grodna na 9 października, na uroczystości obchodów 45-lecia Ludowego Wojska Polskiego.

Mały pomocnik

Jestem na urlopie. Razem z Geniem zajmujemy się przygotowaniem do święta LWP 9 października. Natasza denerwuje się, że sam nie odpoczywam i dziecko męczę. Genio nie chce chodzić do przedszkola i chętnie mi wszędzie towarzyszy.

Partia mnie wzywa

7 października 1988, Grodno. Wezwano mnie pilnie do Komitetu Obwodowego na spotkanie z Marią Biriukową. Posypały się zarzuty pod moim adresem, przede wszystkim ze strony kierownika Oddziału, Griwaczewskiego. Zaczęło się od pytania, kto dał mi prawo zapraszać konsula. Wszystko wziąłem na siebie. Potem już omawialiśmy konkretne sprawy. Podzielono obowiązki związane z przygotowaniem do obchodów święta LWP.

Pierwsza impreza

9 października 1988. Sala Garnizonowego Domu Oficera wypełniona do ostatniego miejsca. W prezydium – delegacja Wojska Polskiego z Białegostoku, konsul generalny z Mińska Mieczysław Obiedziński, konsul Henryk Kalinowski,

wiceprzewodniczący Obwodowego Komitetu Wykonawczego Nikołaj Kołociej, weterani Wojska Polskiego, mieszkańcy Grodzieńszczyzny.

Pierwszy raz po wojnie zebraliśmy kombatantów i złożyliśmy im hołd, hołd naszej pamięci. Mieczysław Obiedziński wręczył naszym weteranom, uczestnikom wojny obronnej zarówno z Niemcami jak i z Sowietami (nie afiszując tego), medal „Braterstwo broni”. Po części oficjalnej wystąpił zespół „Lidzianie,” na czele ze śpiewającym prezesem Kazimierzem Choderem.

Nasza pierwsza międzynarodowa impreza była bardzo udana. Wszyscy zwrócili uwagę na naszą organizację. W gazecie „Czerwony Sztandar” ukazał się artykuł o Stowarzyszeniu.

Ostra nagana

11 października 1988, Grodno. Wezwał mnie dowódca i zażądał wyjaśnień, kto dał mi prawo spotykać się z konsulem polskim i zapraszać go do Grodna. Paradoks sytuacji polega na tym, że oficer w armii ma takie same prawa, jak chłop pańszczyźniany. Konstytucja nie jest dla nas prawem, uzupełniają ją instrukcje i zarządzenia resortowe. Zgodnie z nimi, w ciągu 24 godzin po spotkaniu, lub jak jest to ujęte, „po kontakcie z obcokrajowcem”, oficer powinien zameldować o tym swojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi. Nie zameldowałem, sądząc, że to poniża i obraża moją godność. Dziki stalinizm. Rezultat – ostra nagana za pozasłużbowy kontakt z cudzoziemcem. Karę uzgodniono z kierownictwem partyjnym obwodu, przede wszystkim w tym celu, aby raz jeszcze spróbować mnie złamać, zmusić do rezygnacji z pracy społecznej.

W Komitecie Obwodowym Partii są mocno zaniepokojeni wzrostem świadomości narodowej wśród Polaków. 12 października dowódca zażądał ponownego, tym razem pisemnego wyjaśnienia moich czynów.

Napisałem, że będę się zwracał do Moskwy, jeśli nie zostawi mnie w spokoju.

Wizyta konsula generalnego w Grodnie

Polski konsul generalny Mieczysław Obiedziński złożył wizytę w Komitecie Obwodowym i Komitecie Miejskim Partii. Brałem udział w tych spotkaniach. Rozmowy mi się nie podobały. Aparat wyraźnie nie wiedział, jak ma się zachować w nowej sytuacji. Maria Biriukowa kilkakrotnie potwierdziła ten fakt, nazywając nasze Stowarzyszenie „sekcją”. Według wytycznych miała być zorganizowana właśnie sekcja, więc powstanie Stowarzyszenia bardzo wszystkich drażniło i złościło. Poza tym nie wiedzieli, jak będzie reagował Mińsk, a być może i Moskwa.

Wyrażono także niezadowolenie, że w ubiegłym roku konsulatu chciał wysłać dzieci z Lidy na wypoczynek do Polski. Tę sprawę rozpatrywano niemal jako ingerencję w sprawy wewnętrzne Związku Radzieckiego.

W hołdzie Elizie Orzeszkowej

1 listopada 1988, Grodno. Dzisiaj złożyliśmy kwiaty przed pomnikiem Elizy Orzeszkowej. Uroczystość odbyła się o 14. Byłem ubrany w mundur. Wieczorem o 18 zebraliśmy się na cmentarzu, przy grobie pisarki. Złożyliśmy kwiaty, zapalili znicze, wspólnie odmówili modlitwę. W tym dniu znicze płonęły prawie na wszystkich grobach. Wyczułem, że jestem pod czyjąś czujną obserwacją i należy spodziewać się kłopotów, być może w pierwszej kolejności przez to, że modliłem się ubrany w mundur oficera sowieckiego.

Nieprzyjemna rozmowa

3 listopada 1988, Grodno. Do mojego gabinetu przyszedł naczelnik Wydziału Politycznego. Po jego twarzy było widać, że czeka mnie niezbyt przyjemna rozmowa. Nawiasem mówiąc, jak dotychczas jest to jedyny człowiek, który stara się mnie zrozumieć. Być może dlatego, że sam należy do mniejszości – jest Tatarem.

Awantura powstała o to, że ja, oficer, w dniu święta religijnego zorganizowałem składanie kwiatów i wiec na cmentarzu. Stara się mnie zrozumieć, ale ciąży na nim stary sposób myślenia. Niezadowolenie wyraża także dowództwo w Mińsku i Kijowie. Czuję się fatalnie. O dzisiejszych kłopotach i wymierzonej karze nie mogę powiedzieć nikomu, nawet żonie, z tego powodu jest mi bardzo ciężko.

W domu przez cały czas sytuacja jest napięta. Natasza bardzo dobrze wie, jak działa ten system. Jest kobietą, matką moich dzieci i boi się o naszą przyszłość. W pierestrojkę jeszcze nie wierzy. Przez te wszystkie lata naszego wspólnego życia widziała, jak moje pochodzenie wpływało na moje sprawy zawodowe. Dzisiaj powiedziała, że Feliks, dla jego własnego dobra, powinien wpisać sobie do paszportu narodowość rosyjską. Nie dopuszczę do tego, lecz istnieje poważne niebezpieczeństwo, że on to uczyni.

Feliks urodził się w Rosji. Dorastał na Zabajkalu i Dalekim Wschodzie. Polska i wszystko co polskie jest mu jeszcze obce. Potrzebny jest czas, aby przyciągnąć go do polskości. Wierzę jednak, że będzie Polakiem i to prawdziwym. W ciągu jednego tylko roku spędzonego w Grodnie, po 15 latach na Wschodzie, bardzo się zmienił.

Bez mojego udziału

17 listopada 1988, Grodno. Dzisiaj odbywa się konferencja partyjna Oddziału Ochrony Pogranicza. Po raz pierwszy w ciągu mojej służby w wojsku nie tylko nie wybrano mnie na delegata, lecz nawet nie zaproszono w charakterze gościa.

Dyskusja pułkowników

21 listopada 1988, Grodno. W oddziale pracuje komisja pracowników politycznych z Okręgu i z Mińska. Zastępca dowódcy Wydziału Politycznego Wojsk Okręgu, pułkownik Solonow, wezwał mnie na rozmowę. Pytań było dużo i wszystkie prowokacyjne. Szczególnie zaskoczyła go moja pozytywna ocena wprowadzenia na Litwie trójkolorowej flagi narodowej, flagi, pod którą, jak się wyraził, „leśni bracia” rozstrzelali komunistów. Odpowiedziałem mu, że za czasów Stalina pod czerwonym sztandarem rozstrzelano miliony ludzi i ten fakt nie przeszkadza nam do dnia dzisiejszego uważać ją za swój symbol.

Rozmowa zaszła tak daleko, że nie wytrzymał i zapytał, czy „moje dzieci chcą jeść bułkę z masłem”. To już oczywista groźba i świadectwo, że w armii stalinowcy są szczególnie silni.

Adam Mickiewicz

Aktywnie pracujemy nad przygotowaniem do 190. rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. W związku z obchodami, 2 grudnia 1988 r. spotkałem się z Walentynem Taranciejem. Wyczuwam jego niepokój spowodowany wzrostem uświadomienia Polaków.

Uroczystość 190. rocznicy urodzin Mickiewicza odbyła się w wypełnionej po brzegi auli Uniwersytetu. Na scenie – biało-czerwone flagi, popiersie Adama Mickiewicza. Nasz zespół recytował wiersze i śpiewał pieśni. Wspaniale zostali przyjęci przez publiczność prowadzący wieczór – Irena Waluś i Ryszard Kleczkowski. W obchodach udział wziął Walenty Taranciej. Dla nas to święto, dla niego praca.

Nie wszystkim, niestety, podoba się to, co robimy, lecz czas pracuje na naszą korzyść.

Prasa o nas

11 grudnia 1988 roku wileński „Czerwony Sztandar” opublikował na łamach swojej gazety cztery odcinki o naszej działalności. Oto ich treść:

GRODZIĘSZCZYŻNA: CHCEMY MIEĆ TĘ POLSKOŚĆ

1. Wieczór pani Basi

Moi drodzy, moi kochani! Jakże was przywitać, jakimi słowami przytulić was do siebie? Może słowami naszego patrona Mickiewicza – o chłopczyku, który był odcięty od wszystkiego, co polskie. Pewien ptak przelatując pióro zrzucił, chłopczyk zrobił skrzydła i do swoich wrócił...” – tak pisarka Barbara Wachowicz zaczyna rozmowę z Polakami zebranymi w auli Uniwersytetu Grodzieńskiego. Właściwie wszyscy są z Grodzieńszczyzny. Większość – to członkowie po-

wstałego 10 sierpnia Polskiego Kulturalno-Oświatowego Stowarzyszenia im. A. Mickiewicza, które jednoczy już ponad tysiąc osób. Mają już swe konto w banku – kod 406518, rachunek 700254. Przyszli całymi rodzinami. Mile zaskakuje to panią Basię, jest bowiem zdania, że tradycje narodowe to klejnot, który powinien promieniować w rodzinie od takiego małego zaczątek, co przyszło tu dzisiaj z kokardką na głowie, z pluszowym miśkiem pod pachą.

Pisarka mówi o sobie, o swych wspaniałych dziadkach. W domu dziadków zbierała się młodzież w polskich strojach ludowych, śpiewała „Hej, chłopcy, wraz”, „Ty pójdiesz górą, a ja doliną...”. Dziadkowie często zabierali wnuczkę na spacer do lasu. Pewnego razu, gdy szli jak zwykle, raptem nad trawami uniósł się krzyż. Babcia uklękła i ucałowała ten krzyż. To był grób powstańca polskiego. W taki sposób do małej Basi przychodziła ojczyzna. Później pani Barbara opowiada o wielkich Polakach, ludziach, śladami których dzisiaj jeździ zbierając materiały do książek. Oto Henryk Sienkiewicz. Jego wyjazd do Ameryki i dziwne, bardzo dziwne tam spotkanie ze staruszką, rozmawiającą ze sobą: „Mówię, ażeby nie stał się niemy w języku ojców moich...”. Polskiego nauczył się ten człowiek z Biblii, tłumaczonej na staropolski. „Czy ma pan kogoś w Polsce, żebym mógł pozdrowić” – pyta go Sienkiewicz. I słyszy w odpowiedzi powolne: „Nikogo, nikogo, nikogo...”. A jednak? Nikogo...

Sala zamarła jakby zauroczona. Słysząc tylko przyśpieszone oddechy, gdzieś pochlipywanie i zachwycone szepty: „Jak ona pięknie mówi”, „jak ona głęboko czuje!”. Również podobnie odbieram tę atmosferę, którą tworzy w dużej sali jeden człowiek – Barbara Wachowicz. Mówi właśnie o ludziach, których teraz tutaj spotkała. O pani Walerii Borewiczowej, która od lat pielęgnuje grób Elizy Orzeszkowej, kwatery polskich żołnierzy na cmentarzu grodzieńskim. „Kłaniam się jej do samej ziemi, zamiatając pióropuszem piach i kurz...”. O wsi Bohatyrowicze nad Niemnem, o mogile Jana i Cecylii, która istnieje. O spotkaniu z mieszkanką tej wsi: „Ja się nazywam Barbara Wachowicz” – przedstawiła się pisarka i usłyszała w odpowiedzi: „A ja Anna Bohatyrowicz”. O Stanisławie Bohatyrowiczu, który często wał pięknymi jabłkami i skarżył się słabym głosem: „Proszę pani, nasza wieś już się starzeje”. „Ale ta wieś powinna żyć!” – woła ze sceny pani Barbara. – „Tadziku, Antku, Janku, Franku (są to chłopcy ze Stowarzyszenia) – do was się zwracam...”. O Michale Wołosiewicz z Bieniakoń, który odnalazł grób Ponurego w Wiewiórcie: „Wyciąłem łopian pokrzywę. Coś jakby podpowiadało mi, że tu leży Jan Piwnik...”

Pisarka wraca wspomnieniami do Wilna, w którym gościła przed kilku laty. Pamięta pana Tadeusza z Solecznik, który woził ją na wycieczkę śladami Adama Mickiewicza. Pamięta, że kiedy pan Tadeusz wziął do ręki dwa liście klonowe, jeden duży, kolorowy, drugi mały, szerniały i powiedział: „Oto ten piękny jest jak pani mowa, a ten czerniały, perzaty, – to nasza, tutejsza mowa. Ale oba spadły z jednego drzewa – polskiego...”. Po czym poprosił o widokówkę z Polską: – Będę ją pokazywał kolegom i opowiadał, że oto przyszła do mnie Polska...”

Łzy, brawa, „Sto lat”, „Sto lat”, brawa i łzy. A potem wiązanki kwiatów, przepasywane słowami prostymi i serdecznymi: „My swoje Grodno bardzo kochamy”... „Kochana droga pani Barbaro. Wędrowałaś po świecie i do Grodna przyjechałaś przecież. Bardzo ucieszyła nas Twoja wizyta w grodzie Batorego. Spod

Twego pióra niech się wzmaga siła polskiego narodu”... Na scenę wbiega dziewczynka z kwiatami. „Nazywam się Ola Masłowska – mówi. – Jestem z Łosośny. Chodzę do trzeciej klasy. W naszej szkole uczymy się już języka polskiego narodu. W imieniu polskich dzieci życzę pani dobrego życia i zdrowia”. Pisarka serdecznie ściska dziecko.

*Sztandar wolności powiewa znów
Króluje nam orzeł biały
A deszcze splukaly te kilka słów:
„Polegli na polu Chwały” –*

Proszę pani, niech pani powie o Polsce, że nie ma takiego deszczu, który by to splukał...”. Długo nie możemy się rozejść. Toczą się jeszcze prywatne rozmowy. Ludzie wymieniają adresy, uściski i często ronią łzy. Po czym pani Barbara, Teresa Siemionowa z Lidzkiego Klubu Miłośników Kultury Polskiej, ja oraz „chłopcy ze Stowarzyszenia”: Janek Parulis, Franek Witowicz i Józef Łucznicz urządzamy sobie spotkanie w mieszkaniu Tadeusza Gawina, prezesa SPB. Mówimy o problemach tutejszych Polaków, o Stowarzyszeniu. „Kocham polskość – zwierza się Franek. – Może przez matkę, ojca? Może przez babcię? Trudno mi teraz o tym sądzić. Jednak chyba nie miałem za dużo tej polskości w domu. Dziadkowie, rodzice dbali przede wszystkim o ziemię, która ich żywiła. Mając 14 lat pojechałem do Polski i zakochałem się w Halinie Polkowskiej. Kiedy wróciłem do domu, z książeczki do nabożeństwa uczyłem się języka polskiego, by móc pisać do Haliny po polsku”.

*Pełno ludzi na całym świecie
Wszyscy mają swoje problemy,
ja chciałbym do nich polecieć
Tylko szkoda, że skrzydeł
nie mam*

*Chciałbym duszę swoją rozerwać
Znaleźć kogoś kto mnie zrozumie
lecz nie mogę się stąd oderwać,
Muszę ginąć w codziennym tłumie.*

*A ja nie chcę żyć jak „należy”
Inne życie pragnę zobaczyć,
Chcę jak gołąb sfrunąć z wieży
I na orle gniazdo popatrzeć...*

Franek napisał ten wiersz w 1978 roku. To był jego pierwszy polski wiersz. Miał wtedy 21 lat. W ogóle poetyzować zaczął w czwartej klasie podstawówki, po rosyjsku, najczęściej na tak zwane zamówienie społeczne. Teraz pisze już tylko w języku ojczystym i tylko o tym, co go boli.

Kiedy niektórzy moi znajomi dowiedzieli się, że wstąpiłem do Stowarzyszenia – opowiada Franek – dziwili się: „Kakoj że ty Polak, Franc? Ty że rodziłśia zdieś!” Odpowiadałem wtedy, że w 1926 roku tutaj urodził się mój ojciec. A poza tym – czy

Żydowi lub Rosjaninowi również powiecie, że nie jest Żydem albo Rosjaninem, bo stąd pochodzi? Dziwi mnie taka mentalność. Do niczego dobrego to nie prowadzi. Uważam, że powinniśmy szanować się wzajemnie, starać się siebie rozumieć. Przecież Polacy z Białorusinami pod jednym sztandarem walczyli o wolność. Teraz też mają podobne problemy – chcą czuć się gospodarzami na swojej ziemi.

– Zawsze byłem po prostu Polakiem – mówi Janek Parulis. – Niektórzy wmawiają mi, że jestem Litwinem, bo nazwisko mam litewskie. Ale moja rodzina pochodzi ze wsi Krynki (miejscowość na dzisiejszym terytorium Polski). W Grodnie mieszka już szóste pokolenie Parulisów. Dlaczego przyłączył się pan do Stowarzyszenia? Czego od niego pan oczekuje? – pytam.

– Chciałbym, żeby nie tylko język, ale i dusza tych ludzi była polska – wypala jednym tchem. – Chciałbym też, żeby tutejsi Polacy mieli swoje zaplecze – muzeum regionalne, sale do występów. Do muzeum już nawet dzisiaj mógłbym oddać sporo pamiątek o Grodnie. Jestem zapalonym kolekcjonerem. Odziedziczyłem to chyba po dziadku Rajko. Pamiętam, że miał mnóstwo polskich płyt, książek, a ile znał polskich piosenek ludowych! Cała rodzina była bardzo rozśpiewana. Ojciec Stefan Parulis, zbierał też książki francuskie. Upodobał sobie ten język i nawet go studiował w Wilnie na Uniwersytecie... – A ja poprzez swoje hobby poznałem Tadeusza Gawina. Spotkaliśmy się u Nadzieży Truchanowicz, zastępcy kierownika obwodowego funduszu kultury. Przyszedłem jako członek zarządu Klubu Kolekcjonerów. Tadeusz – w sprawie organizacji Stowarzyszenia. Na początku bałem się mu zaufać: podpułkownik wojsk przygranicznych i zaangażowany w sprawy polskie. Coś tu nie gra. Ale potem zobaczyłem, że ten człowiek jest naprawdę zaangażowany. Przyłączyłem się.

– Nie miałem takich wątpliwości – przerywa Franek. – Znałem Tadeusza od dzieciństwa. Wyrośliśmy w tej samej wsi, w Łosośnie... Pamiętam – było to przed paru miesiącami, siedzieliśmy pewnego wieczoru: Tadeusz, pan Józef Łuczniak, Janek, Staś Sienkiewicz, ja. Rozmawiamy o tym, w jaki sposób na Grodzieńszczyznę powróci polskość. A jeżeli nas z pracy wyrzucą? – nagle ktoś wtrącił. – Nie mają takiego prawa. Wszystko, co robimy, jest legalne, uzasadnione konstytucyjnie – dodajemy sobie nawzajem otuchy, ale czujemy się jakoś niepewnie. Może dlatego, że władze wtedy jeszcze nie wiedziały, jak ustosunkować się do Stowarzyszenia. Może też dlatego, że zbyt często przyzwyczailiśmy się słyszeć magiczne słowa „nie położono!”?

Podczas gdy tak gawędzimy, Tadeusz pełni rolę gospodarza – pomaga żonie nalewać herbatę z samowara, dokłada gościom świetnych konfitur wiśniowych. Pijemy tak zwany „czaj z warienijem”. Typowo po rosyjsku. Bowiem żona Tadeusza, Natasza, jest Rosjanką. Urodziła się w Ałma Acie, ale od dzieciństwa jeździła po świecie. Ojciec był wojskowym, teraz za męża dostała też wojskowego. Jest stęskniona stabilności i spokoju. Tak bardzo by chciała codziennie mieć męża przy sobie i synach – Żeni i Feliksie. Przyglądam się właśnie ich ojcu. Co to za człowiek? Jakie serce bije mu pod żołnierskim mundurem? (Cdn.)

LEOKADIA KOMAISZKO
(korespondent „Czerwonego Sztandaru”)



2. SŁOWA I CZYNY

13 grudnia 1988 roku ukazał się kolejny odcinek korespondentki „Czerwonego Sztandaru”. Nie przedrukowuję w tej części tego, co dotyczy moich listów do „Grodzieńskiej Prawdy” i do Gorbaczowa oraz innych moich posunięć, ponieważ już wcześniej o tym pisałem.

Na takiej rozmowie zleciał nam cały wieczór. Już czas się pożegnać. Korygujemy jutrzejsze plany. Pani Barbara Wachowicz o świcie wybiera się śladami Kościuszki. Ja się umawiam z panem Józefem i Tadeuszem na wizytę w szkołach rejonu grodzieńskiego, w których już od pierwszego września jest wykładany język polski. Pan Józef odwozi nas z panią Barbarą do hotelu. Franek i Janek również jadą razem. Po drodze zrywają „na pamiątkę miłej pani Basi” porozklejane na mieście ogłoszenia o jej dzisiejszym występie, mówią o „Czerwonym Sztandarze”.

– Czy wiesz, że „Czerwony Sztandar” kolportowaliśmy z Wilna, dzięki Władkowi Strumille, i rozdawaliśmy ludziom przed kościołem? – zwraca się do mnie Franek. – Dlaczego przed kościołem? No bo dotychczas było to jedyne miejsce, gdzie skupiała się większość Polaków. Ale teraz ostoją polskości będzie też wasza gazeta. Zobaczysz.

– Mnie mało obchodziła ta gazeta – mówi Janek. – Nie znajdowałem w niej nic ciekawego. Wolałem czytać prasę PRL-owską i radzieckie gazety centralne. No, ale teraz, kiedy „Czerwony Sztandar” zaczął pisać o naszych sprawach, to zaprenumeruję go z pewnością.

Nazajutrz dowiaduję się od pana Józefa, że lekcje języka polskiego są już prawie w 20 szkołach Grodzieńszczyzny. 700 uczniów klas trzecich uczy się tego języka fakultatywnie. W Łosośnie j. polski jest już jako przedmiot dla 11 trzecioklasistów. Po trzy lekcje tygodniowo. Początki są piękne, ale pan Józef i Tadeusz są zdania, że to rzeczywiście tylko początki, bo język polski jako przedmiot ma być we wszystkich szkołach Grodzieńszczyzny. Z czasem musiałyby być też polskie szkoły. Przecież w niektórych rejonach, jak np. Werenowskim, zamieszkuje 85 proc. Polaków! Władze rejonowe ustosunkowywały się bardzo oficjalnie do naszych poczynań – opowiada pan Józef. Twierdzono, że to sprawa potrzebna, godna poparcia. Praktycznie jednak nic nie robiono. Na szczęście, Dmitrij Dudariew, kierownik rejonowego oddziału oświaty, od którego właściwie wszystko zależało, mnie poręczył tę sprawę. Miałem załatwić podręczniki, przygotować nauczycieli. Podręczniki to dzisiaj dowożę z Litwy. O, proszę, tam z tyłu w samochodzie leżą „Wypisy”, „Język polski”, „Elementarz”. Bardzo nam tego brakuje. Z czasem może Wilno pomoże. Rozmawiałem z zastępcą ministra oświaty Litwy, który powiedział, że jeżeli Białoruś dostarczy papier, to nakład podręczników dla szkół polskich da się zwiększyć.

Przypominam sobie wtedy, że w Warszawie studenci zebrali około 7 tys. książek dla polskich dzieci w ZSRR. Część wysłali do Kazachstanu, część przekazali na Litwę. Mówię o tym moim towarzyszom podróży. Proponuję zamieścić adres

na łamach „Czerwonego Sztandaru”. Na pewno ktoś z czytelników podrzuci jakąś książkę. Pan Józef uśmiecha się zadowolony. Dyktuje adres: 230007 Grodno, ul. Gorkiego 51, Otdiel narodnogo obrazowanija, Grodnienskogo rajispołkoma.

W Soniczach języka polskiego uczy Celina Horackiewicz, nauczycielka klas podstawowych. Jest młoda, dobrze mówi po polsku. Już w kwietniu pan Józef wręczył jej gramatykę języka polskiego, mówiąc: „Szykuj się, pani Celino, może wkrótce będzie okazja popisać się erudycją”. Podobnie kształcili się inni poloniści. Na przyszłość będzie lepsze doszkalanie się przy Grodzieńskim Instytucie Doskonalenia Kadr. Pan Józef rozmawiał z dyrektorem Wileńskiego Instytutu Doskonalenia Nauczycieli – obiecują przysłać nauczyciela. Może też Wileński Instytut Pedagogiczny skieruje tu swoich absolwentów? Kiedyś przecież kilkadziesiąt osób pojechało stąd na studia do Wilna i pracuje teraz w szkołach Wileńszczyzny... Były też lata wcześniejsze, kiedy Grodzieńszczyzna upominała się o polskość. Na przykład w latach 50-tych. Ale wtedy większość rodziców obawiała się, że ich dzieci po polskich szkołach nie dostaną się na studia. „Chodziło też hasło, że kto chce uczyć dzieci polskiego, niech wyjeżdża do Polski”. Później, po 20 latach, kiedy ludzie znów się jakby ocknęli, rzucono nowe hasło: „Chcecie polskiego? Ale najpierw sprawdzimy, na jakim poziomie jest białoruski”. W 80 roku po prostu uprzedzono: „O tej sprawie jest lepiej w ogóle nie mówić”. To wszystko do dzisiaj rzutuje na mentalność grodzieńszczuków.

Przypominam sobie wystąpienie pewnego steranego trzydziestoparolatka. Było to po autorskim wieczorze Barbary Wachowicz. Ludzie natchnieni pytali o język polski w szkołach. „Państwo – powiedział wtedy ten człowiek – my z Łosośny. My z kobieto dobili się. Nasze dzieci uczo polskiego. Tu nie ma nic strasznego...” „A mnie jakoś nie swojo – zwierzyła się inna kobieta. – Co na to wszystko powie przewodniczący kołchozu?”. (Cdn.)

LEOKADIA KOMAISZKO



3. NA TERAZ I POTEM

15 grudnia 1988 roku ukazał się kolejny artykuł na temat naszej działalności. Oto jego treść:

– Chcemy, jeszcze jak, tego polskiego – mówi Krystyna Pachomowa, której trójka dzieci chodzi do szkoły w Soniczach. – I to nie wypowiedzieć. Bo wstyd, kiedy pisząc listy do krewnych z Polski trzeba prosić te listy sprawdzać, żeby nie było błędów. A dzieci nasze to i tyle nie wiedzo. Toż to hańba prawdziwa. Jest takie ludzi, że wstydzo się mówić po polsku. Wstydzo się sami siebie. Każdy zapracowany. I do roboty leci, i w domu ma te chazajstwo. Ale na polski język chcemy znaleźć ten czas... Ojej, tutaj byłoby ludziow, żeby wiedzieli, że przyjechali z „Czerwonego Sztandaru”. Ale nic nie wiedzo. Nie ma takiego człowieka co zawiadomiłby. Ludzi zapracowane.

Krystyna przypomina o tym, kiedy w Grodnie Stowarzyszenie dyskutowało o wprowadzeniu lekcji języka polskiego w szkołach obwodu grodzieńskiego. Również niewielu ludzi o tym wiedziało. „Grodnienszkaja Prawda” nie opublikowała informacji na ten temat, choć Stowarzyszenie bardzo o to prosiło. A innej trybuny SPB na razie nie ma. Pani Krystyna jeździła na te zebranie. Potem opowiadała o nim w Soniczach. – Czy to naprawdę coś takiego jest? Czy to może być, że nasze dzieci nauczo się – Krysia czemu ty mnie nie powiedziała? Ja by też pojechała!

Niektórzy z politowaniem kiwali głowami: – Krysia, gdzie ty suniesz się? Wywiozo na białe niedźwiedzi! – A ja by tak chciała, żeby ta historia Polski trochę poznać. Choć dzieci niech to mają. Co my wiemy o Polsce. Tyle to co z telewizji...

Krystyna przypomina, kiedy pewnego dnia dziecko roześmiane wpadło jej w objęcia: – Mamo, dyrektor powiedział, że jutro będzie u nas język polski! – Dzieciaki przyszykowały się, niecierpliwie oczekiwały lekcji. Przyszła nauczycielka i kazała iść do ogrodu pracować: – Nie budiet nikakowo polskowo. Siejczas my imiejem urok truda. – Dziecko Pachomowych wróciło do domu spłakane.

Chce się, żeby te dzieci mówiły ładnie po polsku – zwierza się mąż Krystyny, Gienek. – Niech pani nie dziwi moje nazwisko – zwraca się do mnie. Ojciec był ruski. Skądś z Rosji przyjechał. Matka, z domu Giedrojć, z miejscowości Balinienty. Pięcioro dzieci było w naszej rodzinie i wszystkie Polacy. Tyle było tej polskości w domu. Do dzisiaj rozmawiamy ze sobą tylko po polsku. I tak boli, że niektórzy moi znajomi z wiary powyrzekali się imion ojców i dziadów, że stali się tylko paszportowymi Polakami...

Jan Sadkowski jako jeden z pierwszych napisał podanie o tym, żeby w sonickiej szkole, do której uczęszcza dwóch jego synów, były lekcje języka polskiego. – Ja myślę, że tu wszystkie podpiszo – twierdzi. – Kiedyści, w latach sześćdziesiątych, kiedy chodziłem do szkoły, nie pozwalano nam mówić po polsku nawet na przerwach. Wszystko miało być po rusku. Ale teraz inne, nowe czasy. Tak mnie wydaje się.

– W gmachu szkoły sonickiej był kiedyś klasztor – opowiada mi pan Józef Łuczniak, który jest tu dyrektorem. – obecnie mamy w 9 klasach 60 uczniów: trzech Rosjan, jednego Białorusina, czterech z rodzin mieszanych. Reszta – to Polacy. Na przerwach dzieciaki rozmawiają przeważnie po „tutejszemu” – podstawą jest niby polski, ale używają też słów rosyjskich, białoruskich i nie wiadomo jakich. Trzydziesty pierwszy rok w szkole pracuję, ale nigdy nie spotkałem się z takim grupowym zainteresowaniem dzieci, które jest w przypadku lekcji polskiego. Z jaką chęcią chwytają każde polskie słowo! Wyczuwa się, że miłość do języka ojczystego była zaszczepiana w domu.

Po chwili przekonuję się o tym sama. Rozmawiam z ośmioletnią Grażynką Kuczewicz, która mówi: – Polski to mój rodny, nie, poprawia się, ojczysty język. – A kto ci powiedział, że to twój ojczysty język? – pytam. – Nauczycielka powiedziała. – Powiedz, proszę, co umiesz po polsku? – Umieję trochi czytać i pisać. Umieję pisać bukwę „a”, „l”, „i”, „a”, „t”, „m”. Umieję też wierszyk:

*Daleko, oj daleko
Jest taki las malutki
Jest taki mały dom,*

A w domu – krasnoludki

– Bardzo ładnie to recytujesz, Grażynko. Powiedz, w jakim języku rozmawiasz z dziećmi na podwórku? – pytam znowu. – Pa rusku rozmawiam, bo u nas w szkole tak haworać. – A w domu?

Grażynka mówi, że z mamą, tatą i babcią rozmawia po polsku. Z siostrzyczką i braciszkiem również. Babcia czasem coś czyta z gazet po polsku. Ma „Trybunę Ludu” i chyba „Żołnierza Wolności”. Opowiadam Grażynce o „Zastępach Młodych”, stronie dla dzieci, która ukazuje się co dwa tygodnie w „Czerwonym Sztandarze”. Słucha z zainteresowaniem. Po czym pan Józef prowadzi mnie do nieco starszych dzieciaków – 11-13-letnich. Josif Iwanowicz przyszedł – cieszą się. Na mnie patrzą takimi szczerymi dużymi oczyma. Przedstawiam się i pytam, czy ktoś chciałby poczytać mi coś po polsku? Od razu pewnie ciągnie się do góry kilka rączek. Podchodzę do najbliższej siedzącej Lucyny Dworak. Biegle czyta mi z elementarza o Hani i babci. Nie zrobiła żadnego błędu. Nawet wymowę ma poprawną. Mówi, że czytać mama ją nauczyła. Mama pokazała literki też Weronice Procenko, która również się popisuje w czytaniu po polsku. A Sasza Lis czyta mi wierszyk napisany drobnymi literkami i zamieszczony na końcu podręcznika. Czyli jeden z najtrudniejszych. Chętnych poczytać jest coraz więcej, ale już nie mam czasu. Trochę opowiadam o polskich dzieciach z Wilna. Kiedy zaczynam się żegnać, uczniowie obstepują mnie wokół i patrzą. W tym dziecięcym milczeniu wyczuwam jakąś nie w pełni uświadomianą tęsknotę za czymś, co rozbudziły w nich babcie, mamy i czego teraz na co dzień im brak. Ścisną mi się serce. Przypominam sobie spotkania w Kazachstanie.

– Mam jeszcze trochę czasu – mówi pan Józef. – Chciałbym coś jeszcze pokazać.

Wsiadamy do samochodu, pan Józef, Tadeusz, ja i Czesław Lisowski, fotograf, który nam od paru godzin towarzyszy. Jedziemy w kierunku wsi Kadysz, która znajduje się w odległości dwóch kilometrów od granicy litewskiej. Tu w lesie, wśród sosen strzelistych uspiony jest w ciszy grób 12 powstańców z 1863 roku. Ogromny szary prostokąt ziemi o wysokości prawie pół metra, ogrodzony zniszczonym płotem. Nad tym wszystkim wznosi się niepokąźny krzyż. U podnóża grobu brunatna metalowa tabliczka z napisem: „Bojownikom 1863 roku. 1926 r. S. Dyga”. Kim był ten Dyga? Pan Józef przypuszcza, że może fachowiec, który robił nagrobki... Może kiedyś odezwie się też człowiek, który dogląda grobu. Na razie wiadomo o nim tylko tyle, że w 1939 roku, kiedy Niemcy zagarniali te ziemie i ustawiali granice, grób powstańców znalazł się po ich stronie, więc ten człowiek prosił Niemca, by pozwolił mu opiekować się grobem. Niemiec zajrzał do mapy i cofnął słup przygraniczny o 20 metrów.

– Na razie ludzie jeszcze wielu spraw się boją. Nie każdy wie, ile dobrego zrobił Michaił Siergiejewicz... – Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o grobie i ludziach, którzy o niego dbają. Jedziemy więc do wsi Kadysz, do byłego gajowego Michała Mieszczkańskiego (wnuka powstańca z 1863 roku, który do śmierci nie

powiedział swego nazwiska – bał się Sybiru, na który był osądzony. Długo chował się po lasach, żywili go wieśniacy. Tego dziadka nazywano po prostu „mieszczaninem”. Dzieci jego zostały Mieszczanskimi).

Michał Mieszczkański jest akurat w domu. To 87-letni staruszek, trochę już niedołężny fizycznie, ale pamięć ma doskonałą i umysł zupełnie nie starczy. – Jest taka książka – mówi. – „Wspólna mogiła” nazywa się. To o tym grobie. Niespotykana książka. Książd dał mi poczytać... Teraz już nie opiekuję się ja to mogiło. Zdrowia nie mam. Przedtem to ja był gajowym i to mój obchód był. Posle nocy zawsze znajdowałem wetknięty biało-czerwony sztandar i napis „zaminowano”. Władze mnie pytają, co to takiego, czemu nieporządek. A jaż tam nie siedze...”

Opowiada, że kiedyś był nad grobem żelazny krzyż. Niemcy na trzy części rozbili. Potem grodzieńszczanie go zlutowali... – Teraz co roku 11 listopada przyjeżdża tu szkoła, sprzątają. Teraz lepiej zadbana ta mogiła. Po wojnie była zapadnięta, równa z ziemio – ciągnie dalej Mieszczkański. – W nocy z dziesięć lat temu na pół metra podjęto. Kto zrobił ta robota, nikt nie wie. Ludziow musiało być pięć czy sześć. Może to powstańcy tutejsze? A Stanisław Dyga – to był gajowy... Nie, nie ma tego, co było. A mnie już mało zostało się – w zrezygnowaniu machnął dłonią – może wnuki doczekają się lepszego życia...”

Fotograf proponuje zrobić zdjęcie. Pan Michał zmienia surdut na bardziej odświętny, wychodzi przed dom, staje na baczność przy ogródku. Patrzą na tę szlachetną twarz, na której zostawił swe ślady czas, na stojących w pobliżu pana Józefa, Tadeusza i rodzi się we mnie uczucie dziwnej lekkości. Pomyślałam... nie, stwierdziłam w duchu, że „naród polski tutaj jest, by pielęgnować sady swego wieszca”.

Przejeżdżamy obok wsi Osaczniki (od słowa „osaczać”), gdzie znajduje się dom rodzinny Józefa Łuczniaka: – O, tam gdzie jodełka. Tam jeszcze moja 87-letnia mama mieszka. – Według starych podań wieś ma ponad 200 lat. Mijamy jałowy pagórek. Podobno kiedyś rosły na nim klony, na których wieszano powstańców. Tadeusz z kolei przypomina o górach strachu nieopodal Łosośny. Chowano tam zabitych żołnierzy polskich. Pamięci ludzkiej nie da się wytepić.

Nazajutrz jeździ razem z nami Barbara Wachowicz. Jest to jej ostatni dzień pobytu w Grodnie. Fotografuje pomnik Elizy Orzeszkowej, składa u podnóża kwiaty, nieustannie znoszone „dla kochanej pani Basi” przez grodzieńskich wielbieli. Jedziemy ulicą Podolną – zwaną nie wiadomo dlaczego przez nastolatków Szanghajem – w dół nad brzeg Niemna. Pięknie połyskuje w swym stalowo-si-nym kolorze, obramowany wyścielonymi liśćmi brzegami. W jego wodach przyglądają się chmury-wędrowniczki. Rozleniwiająca cisza. Taka cisza, że tylko słychać trzask aparatu – pani Barbara robi zdjęcia.

– Prędeż, prędeż – niecierpliwi się Tadeusz. – Mam jeszcze dla was niespodziankę. Chcę pokazać skrawek polskości!

Tym skrawkiem polskości jest wieś Adamowicze. – Tam wszyscy rozmawiają po polsku, tam jest kościół naszej parafii, tam na cmentarzu są polskie napisy. – W Adamowiczach jak twierdzi Tadeusz, mieszkają prawdziwi Polacy. Wszyscy są tu-tejsi z dziada – pradziada. Natomiast w przeciwległych Baranowiczach jest dużo

przyjezdnych tzw. przesiedleńców z Rosji, sporo też „paszportowych” Polaków. Przyjeżdżamy pod kościół. Akurat idzie długa procesja. Małe dzieciaki w bieli z kwiatami w rączkach. – Nie spieszcie, dzieci, powoli – piękną polszczyzną poucza idąca obok kobieta. – Widzicie, zdjęcia robią...

Zwiedzamy cmentarz. Przy wejściowej bramie, rok założenia – 1926 – i napis: „Byliśmy, czym jesteście. Będziecie, czym jesteśmy...”. Ale coś po nas pozostanie – myślę. – Coś, o co dbamy, bo wydaje się nam najważniejsze.

Żegnamy panią Basię z łezką w oku. Przyzwyczailiśmy się już do tego bardzo naszego człowieka. Dziękujemy jej za tak wspaniały wieczór autorski, za ten mocny zastrzyk patriotyzmu. – Staralam się nie przynieść wam wstydu – mówi. Czas coraz łapczywiej zabiera nam minuty. To szczęście, że zostają wspomnienia. Na teraz i potem. (Dokończenie nastąpi.).

LEOKADIA KOMAISZKO



4. Z WŁASNEJ WOLI

16 grudnia 1988 roku dziennik „Czerwony Sztandar” pisał”

Sopoćkiński Dom Kultury przypomina średnio wykwintny dworek. Tu ma się dziś odbyć zebranie sopoćkińskiego oddziału Stowarzyszenia (należy do niego 80 osób), którego prezesem jest Józef Łucznicz. Do pokoiczku na piętrze wchodzi zwykli wiejscy ludzie, trochę jakby niepewnie mówiąc po polsku „dzień dobry”. Spozstrzegam jednak, że takie właśnie witanie się przynosi im wiele radości. Zebrało się 10 „ludzi sopoćkińskich” – jak sami o sobie mówią. Jest to aktyw oddziału. Mówią o działalności SPB, o tym, jakie plany można urzeczywistnić w najbliższym czasie. Najpierw chcą zawiadomić wszystkich sąsiadów z pobliskich wsi o działalności oddziału. Przed Wszystkimi Świętymi zadbają o grób dwunastu powstańców. Dobrze by było zrobić nowe ogrodzenie, z czasem można nawet pomnik od Stowarzyszenia. Od razu będzie widać, kto dba o grób. Najgorzej, że nawet sprawę ogrodzenia trzeba uzgadniać z władzami rejonowymi. Gmatwa to rzeczy właściwie nieskomplikowane. Warto by było też zbudować pomnik tutaj – naszym mieszkańcom, rozstrzelanym przez faszystów. – A przed gwiazdką nasz zespół wystąpi z kolędami. Władze mówią, że można to śpiewać – cieszą się. – Barbara Wachowicz akurat sprezentowała nam płytę z kolędami – coś z tego dla siebie wybierzemy!

Pytam, jak ten siedmioosobowy zespół powstał. – W ciągu jednego tygodnia – energicznie tłumaczy 28-letni Józek Gańczyc. – W Skidlu pod Grodnem organizowano Święto Twórczości Ludowej. Zadzwoniono do nas i zapytano, czy umiemy śpiewać „biełaruskije kaladki”. Powiedzieliśmy, że umiemy, ale polskie. Im to odpowiadało. Ale myśmy jeszcze nie odważyli się w Skidlu zaśpiewać kolędy po polsku. Koncertowaliśmy z piosenkami z lat trzydziestych: „Przybyli ułani pod okienko”, „O mój rozmarynie”, „Studzienka”, „Rozkwitały pąki białych róż.” – Rozumiem, że starsi doskonale to znają, ale np. ty? – pytam Józka.

– Mama nauczyła – odpowiada z dumą w głosie. – „Na polskim rynku” też znam.
– Potem dodaje: – Na przyszły rok już „Czerwony Sztandar” zaprenumerowałem. Zrobiłbym to wcześniej, ale nie wiedziałem, że taka gazeta istnieje.

Pytam o muzyków w zespole. – A jakże, są! – zapala się Józek. – Stasiek Krysztapowicz gra na gitarze, Jan Stankiewicz – na skrzypcach, Broniek Zaborowski – na harmonijce. Jeszcze będziemy się ścigać z białostockimi „Kurpiami Zielonymi”!

A nie poddamy się – przytakuje jedna z kobiet. – W Sopoćkiniach ludzie uparte, patrioty. Nie poddawali się, kiedy Niemiec stał i choć mocno byli niszczone, po lasach chowali się, młodzież ze sobą zabierali, szli za Polskę bić się...

Nazajutrz wcześniej rano wybieramy się z Tadeuszem i Joanną Niemczynowską, sekretarzem odpowiedzialnym SPB, do Walancina Tarancieja, kierownika wydziału propagandy i agitacji komitetu obwodowego. Ma być taka zapoznawcza rozmowa. Walancin Taranciej jest trochę podenerwowany. Badawczo patrzy na mnie i mówi z naciskiem: – Eto nasze pierwoje znakomstwo z polskim obszczestwom, eto naszy wnutriennije dieła. – Postanawiam więc zaczekać. – Eto so-wieszczanije, po mieźnacionalnym odnoszenijam? – zadaje retoryczne pytanie sekretarka Tarancieja, kiedy zostajemy same. Widzę, że ona nudzi się i byle pogawędką chciałaby skrócić godziny swego siedzenia. Twierdzi, że teraz wszystko jest takie pogmatwane, we wsiach mówią „po swojemu”. Rodzice wymyślają eksperymenty – jedno dziecko zapiszą jako Polaka, inne – jako Białorusina. Ktoś kiedyś mówił o tym, żeby na Grodzieńszczyźnie odrodziły się polskie szkoły. Ale to przecież tyle roboty! Podręczniki, programy – toż całe lata by trwało...

Tymczasem godziny mijają. Za podwójnymi drzwiami toczy się dyskusja. Nareszcie! Najpierw widzę twarz Tadeusza. Ma zadowolone spojrzenie. Następnie pojawia się Joanna ze zrównoważonym „już po wszystkim”, uśmiechnięci pracownicy partyjni, na końcu sam Taranciej – uspokojony i też uśmiechnięty. Zaprasza mnie do gabinetu., mówi, że ma nadzieję i na dalsze zrozumienie wzajemne ze Stowarzyszeniem. Hura! Jest aprobata władz obwodowych. – Zadania Radzieckiego Funduszu Kultury i zadania SPB całkowicie zgadzają się – powie parę godzin później Siergiej Gabrusiewicz, prorektor Uniwersytetu Grodzieńskiego, przewodniczący Grodzieńskiego Oddziału Radzieckiego Funduszu Kultury. – Zaangażować naród do twórczości, popierać ludowe talenty. Czyli zafascynować naród kulturą, tworzyć ją poprzez naród i dla narodu. Uważam że w przypadku Stowarzyszenia ważne jest zadbać, aby o kulturę polską na Grodzieńszczyźnie walczyło nie tylko 300 tysięcy miejscowych Polaków, ale też 1 mln 200 tysięcy innych zamieszkałych tu narodowości. Język polski ma być wykładany w szkołach na równi z językiem białoruskim i rosyjskim. Z czasem może otworzy się też polskie szkoły. Ale już teraz ludzie mają wiedzieć, że taka możliwość się wyłania. Będą wiedzieć – więc będą tego chcieć. No i gazeta... Jestem zdania, że w perspektywie Stowarzyszenie powinno mieć swój organ prasowy.

Wieczorem mam okazję poznać bliżej jeszcze parę osób z SPB. Jan Rytwiński. Lat 50. Pracuje jako robotnik w Grodzieńskim Instytucie Projektowania. Interesuje się literaturą historyczną – w ten sposób tropi ślady wielkich Polaków. Żywo obcho-

dzą go też codzienne sprawy przeciętnych Polaków. Teraźniejsze i minione, o których nie każdy odważy się powiedzieć. – Rok 1947. Nieduże miasteczko Iwje na Grodzieńszczyźnie. Coraz więcej iwjewskich Polaków otrzymuje radzieckie obywatelstwo. Pewnego dnia z okrzykiem: „Broniuś, Broniuś, mnie paszport wydano” – wpadła do domu moja matka – opowiada Jan Rytwiński. – Skakała z radości mówiąc, że nareszcie będzie wolnym człowiekiem. Dowód osobisty dawał możliwość poruszania się poza obrębem miasteczka. Ojciec wziął do ręki ten dokument, obejrzał i stwierdził: „Matko, to nie jest twój paszport. Tu napisane, że Maria Rytwińska jest Białorusinką”. Moja niepiśmienna matka zbladła na twarzy. Po chwili, gdy ochłonęła, schwyciła dowód osobisty i pobiegła do rady wiejskiej. Powiedziała tam, że z dziada pradziada jest Polką i ta narodowość ma być wpisana do jej dowodu. W odpowiedzi usłyszała, że tego już nie da się przerobić. Matka cisnęła dokument na stół – nie chciała nie swego. Po pewnym czasie władze miasteczkowe sprawdzały, czy wszyscy mieszkańcy miasteczka mają dowody osobiste. Matkę ukarano grzywną 25 rubli. Dla naszej rodziny był to straszny cios, bo żyliśmy biednie. Matka poszła zabrać dowód, ale z zastrzeżeniem, że w linijce „narodowość” wpiszą jej „Polka”. Znowu nic nie wskórała. Po paru dniach ponownie miała zapłacić grzywnę. Może by zapłaciła, gdyby miała pieniądze. Naradziła się z ojcem i postanowili, że pójdą w tej sprawie do prokuratora. „Panie prokuratorze – powiedziała matka. – Może tym razem jeszcze zdołam zapłacić karę, ale kiedy mi zabraknie pieniędzy co ze mną zrobicie? Cudzego paszportu przecież nie wezmę!” Prokurator wysłuchał, fraszobliwie podrapał się po głowie i zawyrokował: „Dajcie jej taki, jaki zachocze!”. Nie każdy był taki uparty jak moja matka. Większość dla świętego spokoju zapisywała się na Białorusinów. Wiadomo – rodzina, żyć trzeba. Jeszcze w latach sześćdziesiątych takie rzeczy się działy.

Jolanta Borewicz. Energiczna trzydziestoletnia kobieta. Po ukończonej Politechnice Mińskiej pracuje jako inżynier w Grodzieńskiej Fabryce Włókien Sztucznych. Pięknie mówi po polsku – taką wymowę mają dzisiaj tylko aktorki w przedwojennych filmach. Jola wiele zawdzięcza babci, Walerii Borewiczowej, wilmiance z wielce szlacheckiej rodziny Bakłażyców. Przez całe życie była nauczycielką. Teraz znalazła powołanie w pielęgnowaniu polskich grobów. Jola bardzo dużo wie o historii Grodzieńszczyzny, o dramatycznych losach swojej rodziny. – Borewiczowie – to dosyć znane nazwisko – mówię.

– Znane i prześladowane. W 1570 roku Borewiczom nadano tytuły szlacheckie. Babcia ma te wszystkie papiery. Kiedyś ja je będę przechowywała – zapowiada Jola. – No, a potem udział w powstaniu, walka z caratem... W wyniku tego rodzina nie miała prawa mieszkać na terytorium Polski. Część wyginęła na Kaukazie, dokąd zsyłano po powstaniu listopadowym. Mój pradziad po ukończeniu Konserwatorium Warszawskiego starał się o carskie pozwolenie, żeby zamieszkać w Grodnie, skąd wywodzi się ród Borewiczów... Za czasów stalinowskich prześladowany był ojciec, zbyt świadomy narowo. Babcia nieraz mnie uprzedzała: „Najgorszego się spodziewaj, wnuczko, bo miałaś nieszczęście urodzić się w rodzinie Borewiczów”. Ale jakoś nikt nigdy mnie nie ubliżył. W szkole klasa zapamiętała mnie od pierwszego dnia, bo prawie nie mówiłam po rosyjsku, ale nigdy nie miała mi tego za złe. Na studiach byłam dumna, że jestem Polką. Młodzież się do mnie garnęła. Twierdzono, że

jestem trochę inna niż wszyscy. Mam inną kulturę. Do komitetu komsomołu mnie wybierano, na starostę grupy...

– Powiedz, co myślisz o Stowarzyszeniu?

– Strasznie fajnie, że coś takiego jest w Grodnie. Przed paru laty to nawet nie pomyślałam, że taka organizacja może powstać. Język i tradycje kultywowano w niektórych polskich rodzinach z oporem. Na pierwszy plan nieraz stawiano dobra materialne...

– Inteligencji również? – przerywam.

– Często, niestety, również. Ale oni zapoczątkowali ten ruch. Oni pierwsi odczuli wyobcowanie z kultury ojczystej, zatarcie świadomości narodowej. Tadzik Gawin, Franek Witowicz, Janek Parulis, pan Józef Łucznik, Joasia Niemczynowska – wszyscy pochodzą z inteligenckich rodzin.

– Poprzez pracę w Stowarzyszeniu czuję się jeszcze bardziej połączona z Polską – mówi prawie warszawską polszczyzną Joasia Niemczynowska, nauczycielka jednej z grodzieńskich szkół (ukończyła wydział fizyki Uniwersytetu Grodzieńskiego).
– Choć właściwie nigdy nie czułam się za bardzo odizolowana od tego kraju. Telewizja, prasa, kuzynowie z którymi razem rosłam i razem uczyłam się pod okiem mamy czytać i pisać po polsku... Mam też dwóch kolegów z Wilna i Druskiennik, z którymi naprawdę świetnie mi się obcuje. – Joasia jest raczej małomówna. Ale za to bardzo oddana sprawie Stowarzyszenia i niezwykle słowna. Jeżeli na pytanie prezesa: „Czy wszystko będzie w porządku, pani Jasiu?”, odpowie „tak”, znaczy – spokojna głowa – rzeczywiście wszystko będzie w porządku. – Coś ci jeszcze pokażę – mówi do mnie Tadeusz i wyciąga z zewnętrznej kieszeni marynarki akuratanie złożony papier. Jest to list – Przeczytaj – mówi. List jest z miejscowości Joszkar – Oła w Maryjskiej Republice Autonomicznej (to na północy Związku Radzieckiego) od 38-letniego wojskowego, Anatolija Jakowlewa. „Urodziłem się w Witebsku w rodzinie mieszanej – pisze po rosyjsku Anatolij. – Matka Izabella Eleńska jest Polką, ojciec Białorusinem. Czuję się Polakiem. W Grodnie bywałem nieraz. Zawsze uważnie przysłuchiwałem się mowie przechodniów, ale polskiego prawie nie słyszałem. Choć już gdy zaczynałem mówić w tym języku, wiedziałem, że jestem rozumiany. W sprawie poprawy życia kulturalnego Polaków na Białorusi pisałem do różnych instytucji, jak też do gazety „Prawda” i na 19. Konferencję Partyjną. Odkrocziłą była dla mnie zasada: kto, jeśli nie ja? W waszym Stowarzyszeniu pokładałam wielkie nadzieje. Wiem, że sporo będziecie musieli się napocić. Żałuję bardzo, że na razie nie mogę wziąć udziału w tak zaszczytnej działalności. Przypuszczam jednak, że za dwa lata, kiedy pożegnam się z wojskiem, jeszcze nie będzie za późno. Tymczasem prosiłbym uważać mnie za członka SPB, gdyż zawsze w miarę swej możliwości postaram się wam pomóc...”

– Na wózka! – Tadeusz, Franek, Joasia i ja wskakujemy do taksówki, kontynuując między sobą rozmowę po polsku.

– Mówcie po polsku – słyszymy raptem głos kierowcy. – Ja rozumiem. Korniejew moja familia. Teraz ja – Biełarus. Ale matka moja Polka. Z Bohatyrowiczów.

LEOKADIA KOMAISZKO

